



ANIELA  
WILK

# SPAR

editio  
Red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Judyta Kozłowska

Korekta językowa: Dominika Dziarmaga

Projekt okładki: Justyna Knapik

Grafika na okładce wykorzystana za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/sytrie>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0884-0

Copyright © Helion S.A. 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# 1

## Wiedźma

– Nora?

Dźwięk nie dochodzi do mnie, jak powinien. Uczucie derealizacji jest dziwne. Słyszę przecież, że stara coś do mnie mówi, ale nie jestem w stanie zrozumieć co.

– Nora? Nora! Na litość, niech cię cholera!

Rejestruję tylko coś przypominającego gulgot, który brzmi trochę jak ludzka mowa. Nic się nie składa w logiczną całość. Dźwięk jest pozbawiony znaczenia. Tym bardziej to niepokojące, bo pewnie wymawia moje imię, którego nie odróżnię teraz od żadnych innych dźwięków, a powinnam, mój umysł działa na innych falach, jest daleko.

Nie otwieram oczu. Kręgosłup zaczyna mi dokuczać, odcinek krzyżowy pali żywym ogniem. Wrażenie wżerania się bólu do samej kości powoli staje się jedynym, co w ogóle czuję. To źle, bardzo źle. To znaczy, że wracam do siebie.

– Nora? – Niezrozumiały bełkot obniża się o dwa tony, a ja nadal nie jestem w stanie zrozumieć znaczenia. Moje imię? Być może w jej świecie, ale ja jestem już dużo dalej.

Ignoruję je. Staram się wejść głębiej, zanurzyć się, odkryć to, co zostawało do tej pory nieuchwytnie. Czuję delikatne mrowienie w kończynkach palców, jakby drobne impulsy elektryczne. Ciało reaguje instynktownie, każdy mięsień się napina, a kręgosłup już nie płonie żywym ogniem – teraz jest żelaznym prętem tkwiącym między moim tyłkiem a karkiem. Mrowienie przybiera na sile, zmienia się, ewoluuje w odrętwienie, w beczucie. To jak trzymanie palców w słabym

kwasię. Wszystkie dźwięki ustają, zupełnie jakby przepelniony ptasim rejwachem las w jednej sekundzie ogarnęło oczekiwanie. Zaraz coś się stanie! Zapadam się w beczas, bezgłos i w jednostajny ciepły mrok, który oblepia całe ciało: stopy, kolana, biodra, brzuch, pierś... Biorę haust powietrza. Mrok wypełnia moje płuca. Serce wali mi jak oszalałe – nieskończenie mocno i nieskończenie boleśnie. Zaraz wejdem mocniej i...

– Nora! – krzyczy całkiem wyraźnie stara. Wrywa mnie z transu, potrząsa energicznie moim ramieniem. Chce mnie obudzić, udaje jej się.

– Au! – syczę, mrugając intensywnie, bo słońce wpadające do pokoju kłuje mnie w oczy. Nie do końca wiem, co właściwie zaszło, ale liczę, że zaraz połączę wątki. Wybudzanie się w taki sposób jest nieprzyjemne, odchoruję bólem głowy. Powinnam to zrobić jak nurek, który musi stopniowo wynurzać się z odmetów oceanu, inaczej jego płuca się zapadną. U mnie to nie kwestia płuc, tylko głowy. Mój umysł, podróżując astralnie, powinien mieć czas na powrót. Stara nie powinna mnie w taki sposób budzić, wie o tym i tym bardziej mnie to drażni.

Przez moment nie wiem, gdzie właściwie jestem. Na pewno jest dzień, siedzę na drewnianej podłodze, okno jest otwarte, a letni wiatr lekko porusza ciemną zasłonę. Czuję na policzku ciepło promieni słonecznych i unoszący się w powietrzu drobny kurz. Odwracam głowę na starą i widzę kobietę, która gdyby mogła zabijać wzrokiem, to już dawno byłabym martwa. Góruje nade mną, stoi sztywno, jakby połknęła kij. Mam ochotę teatralnie przewrócić oczami, ale nie chcę wojny.

– Nie przesadzasz w swoich poszukiwaniach? W ogóle wychodzisz kiedykolwiek z transu? Albo z tego pokoju? – pyta.

– Nie – odpowiadam tonem sugerującym, że jestem w stanie zawsze bronić swoich racji, że nie chcę dyskusji ani jej mentorstwa.

Wstaję, ale kolana nie chcą mnie słuchać, mam nogi jak z warty, a w rzepki wbite gwoździe. Syczę z bólu i chybotliwie się prostuję, masując zbolęły od siedzenia tyłek. Ile czasu tu spędziłam? Spoglądam na zegarek, jest czternasta, a zaczęłam o... Chyba jeszcze przed świtem. Żołądek miauczy żałośnie, domagając się posiłku. Czuję w ustach

piasek, a oczy nadal mnie pieką. Muszę się napić i coś zjeść, bo inaczej – przez nagłe wybudzenie – mogę dostać migreny lub zupełnie stracić kontakt z rzeczywistością.

I ona o tym wie, a i tak postanowiła wpaść tutaj, szarogęsić się i wprawić mnie w koszmarne samopoczucie.

Stara kobieta, która nade mną sterczy, to moja babka. Ma ponad siedemdziesiąt lat, ale trzyma się cholernie dobrze, w ogóle nie wygląda na siódmy krzyżyk. Gdybym jej nie znała, dałabym jej najwyżej pięćdziesiątkę. Odkąd przed dwudziestoma laty pochowała czwartego męża, nie związała się formalnie z żadnym innym partnerem. I to był dla niej najwyraźniej strzał w dziesiątkę, bo stała się niezależną, świadomą siebie kobietą. Właściwie nazywanie jej starą jest fatalnym nieporozumieniem – zawsze ma na sobie makijaż i świetnie dobrane stylizacje. Ma styl, absolutnie zawsze jest elegancka i poważna, kiedy wchodzi do pomieszczenia, światło wchodzi razem z nią. Kobieta sukcesu, właścicielka świetnie prosperującego pensjonatu i najstarsza z kowenu. Zazdroszczę jej sukcesu, ale nie lat. Wszyscy jej zazdroszczą.

Gadają, że nie jest tutaj pierwszy raz, że została spalona na stosie gdzieś w okolicach tysiąc siedemset dziewiętego roku.

– Daleko byłaś? – dopytuje, jakby zaraz zamierzała mnie opierdolić. I czuję w powietrzu, że właśnie budzi się w niej ta mentorska potrzeba ustawiania do pionu szczeniaka. Niedoczekanie.

– Nie. Trenowałam tylko. Krótka przebieżka po górach w stanie astralnym – kpię i nie jestem w stanie tego ukryć.

– Mhm – mruczy i w sugestywny, teatralny sposób pokazuje palcem na swój nos. Naśladuję jej gest i odkrywam zaschniętą strużkę krwi. Cholera, jednak musiałam przesadzić. Wycieram prędko palec w jeansy.

– Musisz się lepiej przygotowywać albo w końcu przyznać, że jesteś na to za słaba, Noro. To bez sensu. Poszukiwanie jej i własnego ja...

Warczę, ale babka niezrażona kontynuuje:

– ...może być dla ciebie niebezpieczne, rozumiesz? Możesz tę sprawę zostawić specjalistom?

– Tobie? – pryham. – Nie odpuszczę, za nic, i nie zostawię tego, nie jesteś w stanie mi niczego zabronić – syczę. Mam dość tej rozmowy, jej obecności i tego, że mi przerwała. Byłam całkiem blisko wejścia w na tyle głęboki trans, aby zacząć ich widzieć – duchy, zmarłych – i móc z nimi pomówić. Ale starej się to nie spodobało. Luna, bo tak ma na imię, nie lubi, jak coś się robi nie po jej myśli, więc cokolwiek dzisiaj zrobiłam, było złe.

– Noro, zrozum, że...

Nie daję jej dokończyć i wychodzę, jeszcze na nieco chwiejnych nogach, więc o mały włos nie wpadam z impetem na futrynę. Nie oglądam się za siebie, po prostu chcę jej zejść z oczu. Ścieram rękawem suchą krew spod nosa – ewidentny znak, że coś było nie tak, owszem, ale mimo to stara nie ma prawa wpierdalać się w moje wycieczki.

Wpadam do łazienki, żeby ochłapać twarz chłodną wodą. Wciąż czuję, jak krew dudni mi w skroniach, a serce nadal nie może złapać spokojniejszego rytmu. Coś jest nie tak, nie powinnam aż tak mocno się rozstroić, przecież nie doświadczyłam dziś żadnej wizji. Ani pół obrazu, a wyglądam, jakbym poszła tam i z powrotem do piekła na piechotę. Jestem blada, zawsze byłam, ale dziś wyglądam jak trup. Mam podkrążone oczy, ewidentnie z przemęczenia, do tego włosy proszą się o odrobinę uwagi. Przeczesałam je palcami, układając rude loki. Znów ochlapuję twarz wodą, po czym energicznie wycieram ją ręcznikiem i wychodzę z pomieszczenia.

Nasłuchuję, ale z wnętrza domu nie dochodzi mnie żaden dźwięk, panuje kompletna cisza, przerywana jedynie tykaniem zabytkowego zegara. Idę do kuchni, zagarniam lekko zeschniętą cynamonkę, która pewnie leży tu i czeka na mnie od dziewiątej rano. W drugą dłoń łapię torbę i kluczek, a następnie czym prędzej uciekam z tego domu wariatów do auta.

Niebo jest szczelnie zasnute grubym kirem z ciężkich chmur. Mogę przysiąc, że kiedy babka mnie wybudzała, świeciło słońce.

Skąd mogłam wiedzieć, że nie zobaczę już słońca?

## 2

### Wiedźma

Kiedy ostatecznie moja – pozał się Boże – kariera akademicka się nie udała, wróciłam do rodzinnego miasteczka. Chociaż słowo *rodzina* to za dużo powiedziane, bo żyje w nim jedynie babka. Przygarnęła mnie i przy każdej okazji wypomina, jaką to świetną decyzję podjęłam, decydując się na powrót. I jakim błędem był w ogóle wyjazd, bo „świat nigdy nie doceni takich jak my, tylko nas zeżre, strawi i wypluje”.

Nazywanie tego zbioru spokrewnionych ze sobą osób *rodziną* też jest na wyrost. Dla babki jestem tylko zwykłą, niewyróżniającą się wiedźmą, za młodą, aby powierzyć mi bardziej odpowiedzialne funkcje, w dodatku bez ambicji, ale z ewidentnym talentem. Nie rozumiem, że dla mnie liczy się jedynie znalezienie Sary, wbrew temu, co uważa babka, i wbrew temu, co policja mówi o zaginięciu sprzed czternastu lat.

No i jeszcze kowen, ale ten pierdolnik i tak zawsze miał mnie za wariatkę. Najwidoczniej noszę piętno szaleńca. I cholernie ułatwia mi to sprawę, bo wariatom wiele się wybacza. Wariactwem w tej społeczności jest dbanie o własny interes i decydowanie o sobie bez pytania starej o pozwolenie.

Włączam radio i wjeżdżam w główną ulicę. Przy jednej, jedynej ulicy i niewielkim placu znajduje się wszystko, co jest potrzebne do życia mieszkańcom: ratusz, szkoła, apteka, przychodnia, sklep z narzędziami, market i moja księgarnia. Kościoła nie mamy, oficjalnie jesteśmy najbardziej nawiedzonym miasteczkiem świata, więc od dwudziestu lat nie znalazł się duchowny, który miałby jaja, żeby ogarnąć

tak uduchowioną inaczej owczarnię. Poprzedni wytrzymał siedem dni i podobno zrezygnował ze stanu duchownego. Mięczak.

Jestem spóźniona, miałam być godzinę temu, Hanna urwie mi głowę. Tym bardziej że to nie pierwszy raz. Tak, mam świadomość, że ostatnio nawalam bez przerwy.

Przed wejściem do księgarni sprawdzam, czy aby na pewno ponownie nie puściła mi farba z nosa. Przemycam twarz chusteczką i z zadowolaniem stwierdzam, że jest czysta.

– Jestem! – obwieszczam, poruszając drzwiami niewielki dzwoneczek wiszący nad progiem. W tym momencie niebo pęka na pół i zaczyna okrutnie padać. Zupełnie jakby ktoś odkręcił kran. W pomieszczeniu zaczyna migotać światło. Wpatruję się więc w ciężki żyrandol z imitacją świec, małeńkie żarówki przez chwilę pulsują nieregularnie, aby w końcu zgasnąć. W sekundę wyłącza się wszystko, co zasilane jest prądem. Zapadają półmrok i dziwna, lepka cisza w szklanym szumie deszczu.

– Kurwa – syczę pod nosem, czując, jak jeżą mi się włoski na przedramionach, a ciało pokrywa gęsia skórka. Nie jest dobrze. Strach przyszedł nieproszony i rozsiadł się wygodnie w mojej głowie, w miejscu, które dobrze zna, ale którego dawno nie odwiedzał.

Wyteżam wzrok, lecz nie widzę żadnego ruchu, zupełnie jakbym oglądała fotografię.

– Hanna, jesteś? – pytam niepewnie, rozglądając się. Jest pusto. Nikogo nie ma ani między regałami, ani w części czytelniczej, gdzie kobieta często zaszywała się w jednym z foteli i przy braku klientów potrafiła siedzieć tam pół dnia. Słyszę, jak wiatr zawodzi w wentylacji, a łopaty wiatraków pod sufitem kręcą się ostatkami sił, cichutko pojękując. Tak, to jest dość straszne.

Nie widzę nigdzie pracownicy, więc zaczynam się niepokoić. Pogoda na zewnątrz pogarsza się z każdą chwilą, wiatr wyje coraz głośniejsze, a o dach uderza konar drzewa, co brzmi wyjątkowo upiornie. Przecież drzwi były otwarte, kiedy tutaj weszłam, czyżby... związała?

– Hanna?

Cisza. Zaglądam za ladę, nie ma jej. Przy biurku ani we wnęce na kartony tak samo. Sprawdzam kasę, ale wszystko wydaje się być



w porządku: gotówka jest, są paragony z transakcji kartą pospinaane zszywaczami i posegregowane również. Toaleta też jest pusta. Zostaje mi zaplecze z tylnym wyjściem na niewielkie podwórko.

Podłoga cichutko skrzypi.

– Jesteś! Jezu, jak mnie wystraszyłaś! – prawie krzyczę, kiedy widzę, że Hanna wchodzi na zaplecze przez drugie drzwi.

– O... Sądziłam, że się już dziś nie pojawisz – mówi wesoło, chociaż w jej słowach słychać pretensję.

Ogarnia mnie ulga, że jest tutaj, że nic się nie stało. Wyczuwam od niej mocny zapach zielska. Gdyby było jaśniej, pewnie dostrzegalbym również przekrwione oczy. Kręcę głową i staram się opanować na tyle, aby nie zacząć na nią krzyczeć. Nie mam do niej siły, bezczelnie popała sobie w robocie! W dodatku przesiaduje na zapleczu, pewnie z komórką w ręce.

– Jestem. Działo się coś?

– Raczej nie. Cisza i spokój jak w rodzinnym grobie.

– A dostawa przyszła? Zamówiłam ostatnio sporo z hurtowni i...

– Jest. Jeszcze nie zdążyłam rozpakować, kurier był może kwadrans temu – tłumaczy, ale niespecjalnie jej wierzę. To znaczy nie mam wątpliwości, że dostawa została dostarczona, ale zwykle dzieje się to tuż po otwarciu, około dziesiątej, jedenastej, więc wybitnie olała swoje obowiązki. Czy powinnam być zła? Tak. Czy jestem? Nie. Absolutnie. Hanna ostatnio i tak ma wystarczająco przejebane w życiu. Wiem, że przychodzi tutaj i pali nie dlatego, że potrzebuje pieniędzy, ale raczej dlatego, że szuka spokoju. Cmentarz prawdopodobnie byłby jedynym spokojniejszym od księgarni miejscem.

Wiem, że nie powinnam puszczać płazem takiego zachowania, nawet jeśli ma gorszy okres. Istnienie księgarni wisiałoby na cienkim włosku, gdyby nie sprzedaż wysyłkowa niszowych wydawnictw, typowo ukierunkowanych na czarostwo, których nie da się znaleźć na Ebayu lub Amazonie, dawno temu poszłabym z torbami. A jeśli ja, to i Hanna.

– Wszystko w porządku? – pytam, nieco odpuszczając. Zdejmuję bluzę i siadam za biurkiem, laptop zieje czernią ekranu. Czeka mnie poważna rozmowa z Hanną, ale jeszcze nie teraz. Obie mamy za dużo

na głowie. Po tym, jak pozbyła się ze swojego życia tego cholernego toksyka, którego imienia nie wypowiem, bo mi przez gardło nie przejdzie, nie może się pozbierać. Dalej z tym walczy. Wszystko wymaga czasu.

Przeliczam pieniądze w kasie, muszę czymś zająć ręce. Strach rozpał się we mnie na tyle, że czuję, jakby stał się integralną częścią mnie. Liczę, ale nie mogę się skupić. W końcu odpuszczam.

Hanna rozsiadła się w skórzanym fotelu i patrzy w okno. Na ustach błąka jej się sztuczny, fałszywy uśmiech wywołany zielskiem. Wygląda okropnie, odkąd wywaliła Willa z domu i zakończyła ten toksyczny związek. Schudła i zaczyna przypominać swój własny cień. Pobladła, a ciemne włosy wymagają pilnej interwencji fryzjera – zawsze nosi długie ciemne dredy z mnóstwem koralików, ozdób, piórek i cholera wie, czego jeszcze, ale aktualnie jej odrost prosi się o odrobinę uwagi i zręczne szydełko specjalisty. Hanna jest zjawiskowo piękna, ale boję się, że straciła chęć do zajmowania się własnym życiem. Trwa w zawieszeniu, jak większość kobiet z tego miasteczka. To nasze wspólne przekleństwo – marazm.

– Taaak – odpowiada mi niechętnie. Jest zamulona, a ja coraz bardziej się wkurwiam.

– Han, to nie może tak wyglądać, musiszz...

– Wziąć się w garść? Dzięki – parska. – Wszyscy mi to mówią. A, i jeszcze żebym poszła na spacer i zjadła kostkę czekolady.

– No ja wiem, że to nie jest rada życia, ale... Sama widzisz, martwię się o ciebie. Może powinnyśmy poszukać terapeuty? Wspólnie.

Hanna – niechętnie, powoli i z jękiem – wstaje z fotela. Widocznie nie ma najmniejszego zamiaru ze mną gadać. Kiedy sięga po skórzaną kurtkę, przez moment mam wrażenie, że widzę zasinienie na jej ramieniu. Natychmiast się spinam i czuję, że krew zaczyna mi szybciej krążyć. Strach i wściekłość? Ot, nowe połączenie, jakbym wypila na raz cholernie mocnego shota i miała komuś przywalić, krzycząc przy tym z przerażenia.

– Wezmę się w garść, obiecuję – mówi przez zaciśnięte zęby, ale jej nie wierzę. – Albo... Jak chcesz, to mnie zwolnij, mam to w dupie.

Wzrusza ramionami, salutuje w moją stronę i chce wyjść.

– Hanna, poczekaj, musimy porozmawiać! – prawie krzyczę, zrywając się z miejsca.

Co właściwie mam jej powiedzieć?

Nie daję mi szans powiedzieć czegokolwiek więcej, macha tylko dłonią i wychodzi z księgarni, trzaskając szklanymi drzwiami. Rama, w których są osadzone, trzeszczy niebezpiecznie.

Na zewnątrz leje, więc mogę tylko obserwować, jak jej wątła sylwetka znika w szklących się strugach. Czuje się źle, jakbym powiedziała coś złego, jakbym kopała leżącego. Ale – do cholery – buja się z tym już ponad pół roku, nie chce żadnej pomocy i widzę, jak powoli tonie we własnym umyśle, jak się stacza.

Muszę jej jakoś pomóc.

Jeśli tylko sama sobie odrobinę pomogę. Przecież uciekłam z domu po tym, jak babka nakryła mnie na nielegalnych praktykach wędrowniczych w projekcjach astralnych.

Z niechęcią, ale wracam do rzeczywistości. Czyli właściwie do czego? Pstrykam włącznikiem światła, ale nic się nie dzieje. Nie ma prądu i z tego, co widzę, nikt w miasteczku go nie ma. Musiała paść cała sieć; liczę jednak, że zasilanie wróci do wieczora. Miałam jeszcze plany, których nie da się zrealizować bez prądu – czyli Netflix i święty spokój.

Po omacku szukam w magazynku latarki, a kiedy już ją mam, szukam świec, bo jestem pewna, że są gdzieś tutaj schowane. Awarie prądu na odciętych od świata zadupiu bywają częste, toteż świece to podstawa. Tak jak lampy naftowe, ale nie chcę popadać w panikę i wysłać się do osiemnastego wieku.

Kiedy je znajduję, zapalam kilka w okolicy biurka. Następnie przekręcam zamek w drzwiach – bez prądu i tak niczego nie sprzedam, poza tym niekoniecznie chcę, aby ktokolwiek się tutaj kręcił, kiedy padły mi komputer, monitoring i alarm, a wokół jest pełno świec oraz łatwopalnych książek. Przekręcam tabliczkę na witrynie i teraz już cały świat będzie wiedzieć, że jest zamknięte.

– Szlag – mruczę, gdy uzmysławiam sobie, że o herbacie również mogę zapomnieć, tak samo jak o kawie, bo wszystkie urządzenia, dzięki którym mogłabym je sobie zrobić, są – psiakrew! – na prąd.

Popijam więc chłodną wodę z bidonu i biorę się za rozpakowywanie dostawy.

Szary karton leży nieotwarty przy biurku. Dobre dwadzieścia kilogramów książek. Szkoda, że nie ma prądu – na połowę z nich mam już klientów, którzy dopytują o nowości wydawnicze – bo nie wprowadzę ich do systemu, nikt ich nie odbierze i z zadowolonych klientów nici. Z drugiej jednak strony – kto w taką pogodę wybierałby się do księgarni?

Wszystko wskazuje na to, że nic się dziś tutaj nie wydarzy. Może to i dobrze? Mam dość sporów z babką, a w księgarni jest spokojnie i zwykle czuje się tutaj bezpiecznie. To moja przestrzeń. Jednak dziś coś mi nie pasuje i nie chodzi tylko o chaos, który wprowadza Hanna. Powietrze drga od jej emocji bez względu na to, jak bardzo jest upalona.

Podczas rozpakowywania i układania alfabetycznie pozycji mogę przez moment po prostu nie myśleć. Jeśli wróci zasilanie, będę miała mniej roboty. Jednak wciąż mam poczucie, że coś jest nie tak. To uczucie staje się do tego stopnia namacalne, że aż zaczyna mnie swędzieć skóra na przedramionach.

Odwracam głowę, ale niczego nie dostrzegam w półmroku mojej księgarni. Chociaż... przez ułamek sekundy – jestem tego pewna – widziałam kogoś w rogu pomieszczenia. Włoski na ramionach stają mi dęba, a po karku wspina się lodowaty strach. Mój oddech przyspiesza. Świecę latarką w mrok – niczego tam nie ma. A jednak czuję czyjaś obecność. Oddycham głębiej. Nie dam się wykurzyć z własnej księgarni.

Wtedy kątem oka dostrzegam postać stojącą za drzwiami. Wzdrygam się i trącam stos książek, które spadają na ziemię. Serce bije mi jak oszalałe.

Ktoś wali w drzwi mimo kartki. Ciemna postać. Przetykam ślinę. To żaden zwid ani zjawa. Podchodzę bliżej i widzę, że to ekspedientka z minimarketu obok. Kamień spada mi z serca, ale dłonie wciąż nieco drżą, kiedy przekręcam zamek.

– Nora! Dobrze, że jesteś. Masz – mówi wesoło kobieta, podając mi karton wielkości pudełka na buty. – Ktoś zostawił to u nas rano, ale jest twoje nazwisko, więc pewnie jakiś kurier pochrzanił adresy. Wolałam dostarczyć osobiście.

– Dzięki – dukam, nadal nie mogąc uspokoić oddechu i drżenia rąk.

– Wszystko gra?

– Po prostu mnie wystraszyłaś. Nie ma prądu i wszystko jest jakieś takie dziwne, u was też nie... – urywam, nie bardzo wiedząc, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Kobieta jest przyjazna, widuję ją od lat, a nawet nie jestem pewna, jak ma na imię. Coś na „M”? W tym miasteczku wszyscy się znają, a ja ją zakodowałam w głowie jako „tę od marketu”, gdy ona zaryzykowała grypą, zrujnowanym makijażem oraz, czysto teoretycznie, porażeniem pioruna, aby przynieść mi cholerną przesyłkę! Z każdą sekundą czuję się tylko gorzej.

– Przepraszam, nie chciałam, naprawdę – tłumaczy się. Robi jej się głupio, mnie niezręcznie i przez chwilę trwamy w dziwnej ciszy.

– Pójdę już. Nie chciałam dawać tego Hannie, wyglądała dziś na nieźle wkurzoną.

– Jak to? – pytam zdziwiona. Była upalona, owszem, ale na pewno nie wkurzona.

Kobieta wzrusza ramionami w odpowiedzi i żegna się, tłumacząc to deszczem, wiatrem i tym, że kończy zmianę.

Muszę podjechać dziś do Hanny i zobaczyć, co się dzieje. Nie jest tylko moją pracownicą; znamy się od czasów szkoły średniej. Kiedy wróciłam do miasteczka, odnowiliśmy kontakt. Nie wiem, czy się przyjaźnimy, ale na pewno mam prawo się o nią martwić. Mogę nazwać ją siostrą, jak wszystkie tutejsze kobiety. Jesteśmy splecione w kowenie i siostrzeństwie ponad wszystko, a czasami – na siłę.

Ponownie zamykam drzwi na klucz, ale uczucie niepokoju i czyjejś obecności wciąż nie daje mi spokoju. Sięgam tuż ponad drewnianą konstrukcję nad wejściem i wyczuwam pod palcami dokładnie to, co chciałam poczuć. Sól. Ścieżka z gruboziarnistej soli. Rzucam się w panice, aby sprawdzić, czy jest także pod oknami. Jest, nienaruszona. Podobnie na zapleczu. Ostrożnie mijam symbole wydrapane na drewnianej podłodze. Są nietknięte, a ja tym samym powinnam czuć się bezpiecznie. Powinnam, jednak wbrew temu czuję całą sobą, że coś jest nie w porządku. Jakby ktoś mnie stale obserwował.

Biorę łyk wody i oglądam przesyłkę. Nie wygląda na coś, co zamaślałam, a o czym bym zapomniała. Co więcej, nie ma na niej listu

przewozowego, jest tylko moje nazwisko i nic więcej. Szary karton owinięty szarym papierem, przewiązany szarym sznurkiem. Jest lekki, więc to na pewno nie książki.

Nie zastanawiam się dłużej i otwieram pakunek za pomocą nożyka. Wewnątrz jest jeszcze więcej papieru – ścinek gazet jak po przepuszczeniu przez niszczarkę.

– Szlag! – krzyczę piskliwie i odpycham przesyłkę na białce, jakby w środku czał się jadowity wąż. Nie ma węża. Oddycham głęboko i zerkam raz jeszcze. Zawartość wygląda jak suszony pęk ziół i kwiatów, zebrany w niewielkie kadzidło i związany sznurkiem przypominającym... włosy? Robi mi się niedobrze. O ile zazwyczaj kadzidło uznalabym za dobry znak, prezent, o tyle... to coś?

Wyciągam pęk drżącą dłonią i sprawdzam strukturę osobliwego sznurka. Udaje mi się wysuplać jeden pojedynczy włos. Zwijam go w palcach w niewielki kłaczek i zbliżam do świecy. Spala się błyskawicznie i pozostawia po sobie charakterystyczny zapach palonej sierści. Białko, ludzkie czy zwierzęce, podczas palenia wydziela zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym.

Odkładam kadzidło do pudła, zamykam je, kładę na podłodze i kopię, aby odjechało pod regał z podręcznikami akademickimi. Oddycham ciężko i staram się połączyć wątki, ale nic, absolutnie nic mi nie pasuje.

Kto mógłby wysłać mi coś takiego? Ktoś z miejscowych? Po co, skoro wszystko kontroluje kowen i coś takiego jak nieżyczliwa przesyłka by nie przeszło? Bo to, że jest nieżyczliwa, czuję z daleka! Powinam skupić się na rozpoznaniu, z jakich ziół jest złożone kadzidło, ale wciąż patrzę na pudełko, jakby wewnątrz było coś, co może mi zrobić fizyczną krzywdę.

Dociera do mnie słodki zapach leśnych kwiatów. Nic tutaj nie powinno pachnieć w ten sposób, więc strach już nie tylko dyszy mi na kark, ale staje obok mnie i sam patrzy z przerażeniem na pudło.

Mam dość.

Wychodzę z księgarni, omijając pakunek szerokim łukiem, i zamykam drzwi na cztery spusty. Muszę pogadać ze sprzedawczynią z marketu; może pamięta, jak wyglądał dostawca przesyłki. Muszę mieć jakiś trop, cokolwiek, co naprowadzi mnie na nadawcę.

Leje jak z cebra, w dodatku okrutnie wieje, a ja mam na sobie tylko ramoneskę, ale jestem tak spanikowana, że mam wrażenie, że bliżej mi do gorączki niż do wychłodzenia.

Niestety nie mogę wejść do minimarketu. Przez brak prądu nie działają automatyczne drzwi. Klnę pod nosem i przylepiam nos do szyby w nadziei, że kogoś zauważę. Nic. Ciemno i głucho, ale na drzwiach nie widzę informacji, że jest zamknięte.

Walę w szkło. Cisza. Pewnie pracownice miały dość tłumaczenia klientom, że nie, nie mogą zrobić zakupów, bo nie działają kasy fiskalne.

Wracam więc zrezygnowana do księgarni. Bieg w ulewie nie działa oczyszczająco. Przeciwnie – mam wrażenie, że z każdym krokiem robi mi się ciężej na sercu.

Otwieram drzwi i nie wierzę w to, co widzę. Świeca, która stała na biurku, przewróciła się, spadła na podłogę, potoczyła w stronę pudła i... dalej się pali!

Rzucam się, aby ją zgasić. Deptam płomień, przy okazji rozchlapując wosk.

– Bardzo chcesz się spalić, co? – syczę w kierunku pudełka pod regałem. Naturalnym jest, że jeśli czegoś bardzo nie chcemy w naszym życiu, to ogień jest najlepszym sposobem na pozbycie się negatywnej energii. Jednak to kadzidło, ogień je aktywuje.

Pudełko niestety nie odpowiada. Po prostu jest – tak samo jak przed momentem – tajemnicze i nieruchome. Nie żyje, chociaż mam wrażenie, że jego zawartość na mnie czyha. Jak pająk czy inne paskudztwo, które wywołuje u mnie strach na granicy odrazy.

Muszę zdecydować. Odpalić je i sprawdzić, co się stanie? Nie, dziękuję, nie brakuje mi piątej klepki. Gdyby to było coś miłego, pewnie byłby dołączony uroczy liścik od życzliwej duszyczki.

Wracam do segregowania książek z dostawy. Układam je wydawcami, a potem autorami, aby jutrzejsze wprowadzanie ich do systemu trwało nie dłużej niż kwadrans.

Wzrok sam mi ucieka w kierunku pudełka. Łapię się na braku koncentracji. Moje myśli przypominają stado spłoszonych ciemnych ptaków, które fruują chaotycznie, bez żadnego celu. A do tego są po prostu ponure jak listopadowa noc.

Najprościej byłoby to spalić, zakopać, utopić w rzece – pozbyć się tego. Jednak nie jestem pewna, jakie intencje są ukryte w kadzidle i czy unicestwienie nie będzie oznaczało uwolnienia tego, co jest w środku i co niekoniecznie musi być dobre. Czuję to instynktownie. Za każdym razem, kiedy pudło jest w zasięgu wzroku, dopada mnie chłód i ciało przeszywa dreszcz.

Mogę to też pokazać babce, ale... Nie... Sama się z tym uporam, a dopiero gdy znajdę się zupełnie pod ścianą, pokażę jej nietypowy podarek. To jest dobry plan!

Szukam jeszcze pewnej książki, która mogłaby wskazać mi rozwiązanie. Jednak nie znajduję jej na swoim miejscu. Ktoś kupił podręcznik do praktycznej czarnej magii? Cóż, w systemie nie sprawdzę, ale... mogę zapytać Hanny. Całkiem możliwe, że potwierdzi również ludzkie bądź nieludzkie pochodzenie włosa z kadzidła.

I to jest genialne rozwiązanie, bo przy okazji się z nią rozmówię – jak przystało na troskliwą pracodawczynię.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

W sennym miasteczku od wielu pokoleń rządzą wiedźmy, kobiety mądre, doświadczone i ambitne. Każdego dnia tkają swoją rzeczywistość, żyjąc zgodnie z zasadami swojego kowenu.

Chociaż większość wiedźm dostrzega w takim porządku spraw bezpieczeństwo, to w Norze budzi sprzeciw. Młoda wiedźma za wszelką cenę chciałaby wyrwać się z pęt jakie nakłada na nie kowen. Wie jednak, że mu nie umknie, bo po swojej babce jest pierwsza w kolejce do objęcia nad nim władzy. Nie chce się pogodzić z rolą, którą będzie musiała pełnić.

Tymczasem jej babka znika, a po latach zniewolenia do miasteczka powraca charyzmatyczny demon podający się za łowcę czarownic. Wyzwolony z kajdan, pragnie zemsty na Lunie, starej czarownicy, która wcześniej trzymała go w szachu. Chce ją omamić, a potem spalić. Tylko wtedy będzie mógł żyć na własnych zasadach.

Jego głównym celem jest przejęcie kowenu, na którego czele stoi teraz Nora. Konstrukcja kowenu zaczyna się chwiać pod niepewnym przywództwem młodej czarownicy, która nie wie komu może zaufać, kto jest jej wrogiem, a kto sojusznikiem.

Im bardziej demon łączy w lokalnej społeczności dziwnego małego miasteczka, tym mocniej przeraża, ale i fascynuje Norę. To delikatna i skomplikowana gra pozorów i interesów, pełna kłamstw, manipulacji i piekielnych sił. Ale kto w tej historii okaże się naprawdę zły i godny potępienia? Oto mroczny erotyk dla fanek powieści paranormalnych. Demony, wiedźmy, prastary kowen, mroczne klątwy i rytuały.

#### PATRONI MEDIALNI:



© CUTE  
@@ SENSUAL  
@@@ SPICY  
@@@@ DARK

**editio  
rep**  
EDITIO.PL

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**

